Rok 1898. Lwów, dnia 25. kwietnia. Nr. 17.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

FERENCZ HERCZEG

MISS MILL

(Przekład z węgierskiego).

Wziąwszy się pod boki, stała panna Ewa wśród łąki słońcem oblanej i patrzyła, jak zwinne jaskółki z głośnym świegotem przemykały ponad żółciejącym w pobliżu łanem rzepaku.

Idąc za popędem chwilowego kaprysu, strąciła swój olbrzymi, wiankiem róż dzikich ozdobiony kapelusz z główki i rzuciła go precz od siebie na pokosy świeżego siana.

Potem, jakgdyby szerokokresy kapelusz pociągał ją ku sobie, zachwiała się sama, przyklękła i z uczuciem ogromnej rozkoszy wyciągnęła się na wonnem sianie.

Gryząc źdźbło trawy w ząbkach, spoglądała w niebo, w to ciemno-sine niebo Banatu po którego głębi zdają się przesuwać lśniąco-białe lecz i mgliste zarazem postacie.

Niewypowiedziane zadowolenie ogarnęło ją całą. Jak pięknie byłoby, gdyby wirująca ziemia zatrzymała się nagle w swych obrotach! Gdyby nigdy nie było nocy, ani zimy, gdyby wszystko zostało nazawsze tak, jak jest w tej chwili! A ona sama, aby mogła tak wiecznie wygrzewać się na świeżem sianie, z taką samą jak dziś błogą pewnością w duszy, że uciekła przed lekcją francuskiego i że być może już wkrótce zobaczy kogoś — co jej niemiłym nie jest z pewnością...

Zbliżający się szybko i coraz głośniejszy turkot przerwał jej marzenia.

Po wąskiej i wyboistej drożynie polnej, toczył się lekki, amerykański wózek, zaprzężony w parę pysznych kłusaków. Na koźle siedział mężczyzna w nieskazitelnie białym flanelkowym kostjumie, z papierosem w ustach a kwiatem oleandru w butonierce.

Panna Ewa porwała się z uśmiechem i — z płonącemi policzkami, wywijając kapeluszem ponad główką popędziła w stronę zbliżającego się wózka.

— Adam! Jestem tu! Jestem tu!

Po pięknej, poważnej twarzy mężczyzny przemknął lekki uśmiech. Wstrzymawszy konie, podał rękę dziewczynie.

— Już znowu bez parasolki? Opaliłaś się już tak, że wyglądasz jak murzynka z Afryki środkowej...

W rzeczywistości miała panna Ewa ciemno-złotą cerę Andaluzjanki, tak opiewaną przez Musseta.

Ze zwinnością wiewiórki wdrapała się na wysoki kozioł. Wyrwała mężczyźnie kwiat z butonierki, wetknęła go za swój pasek skórzany, a potem, z niecierpliwością pochwyciła lejce w swe rączki.

— Dokąd jedziemy? — zapytała z błyszczącemi od zadowolenia oczyma.

— Może do miss Mill? — złośliwie zauważył Adam.

— Nie, nie!

— Do wodociągu?

— Tak, tak!

Panna Ewa siedzi wyprostowana na koźle i trzymając w drżących nieco piąstkach lejce, spogląda z uwagą, z napół otwartemi ustami między konie. Od czasu do czasu klaska językiem. Wózek z szybkością błyskawicy mknie naprzód, podskakując cochwila na wyboistej drodze. Daleko na horyzoncie, na tle wysokiego wału szarzeje długa linja dymu. Tam jest wodociąg.

Z czoła panny Ewy usuwa się — pędem wiatru strącony, kosmyk włosów i spada jej na oczy. Pan Adam odgarnia go delikatnie na bok, lecz następnie, zatrzymuje swą rękę na ramionach dziewczęcia.

— Czy kochasz mnie naprawdę? — pyta cichym, wzruszonym głosem.

Panna Ewa mruży oczy z minką uszczęśliwionego dzieciaka i kiwa główką: tak.

— Naprawdę? Takiego starego?

Ewa przechyla główkę na bok, ażeby policzkiem dotknąć spoczywającej na jej ramieniu ręki Adama.

— Piętnaście lat, to przecież niewielka różnica! — mówi. — A przytem, teraz wcale się już pana nie boję...

— Więc przedtem bałaś się?

— Trochę. Jesteś pan przecież moim opiekunem. Przytem pisał pan czasem do mnie takie surowe listy gdy miss Mill doniosła że się francuskiego uczyć nie chcę...

— Prawda, że i teraz niebardzo ci się chce uczyć?

— Wcale mi się nie chce... — odparła panna Ewa otwarcie.

Nagle rozjaśniła się jej twarzyczka i śmiejąc się dodała:

— Wie pan, że zeszłego roku, gdy pana przeniesiono do poselstwa w Bukareszcie, zaczynałam już być zazdrosna o pana. Wszyscy mówili, że bojarki są bardzo piękne i zalotne...

Na murawie spoczywała rozrzucona szeroko trzoda owiec. Pies owczarski szczekając ochryple rzucił się do łbów koniom. Koń naręczny, zaniepokojony widocznie, począł wierzgać i wyrywać się naprzód. Pan Adam chwycił więc w swe dłonie lejce, a wraz z niemi drobne, urękawicznione rączki dziewczęcia.

Zatrzymali się u wodociągu. U stóp ziemnego wału stała niewielka, z desek zbita buda, a w niej warczała i sapała lokomobila. Maszynista w niebieskiej bluzie, zdjął czapkę na powitanie. Rozmawiali przez chwilę ze starym, a potem rozglądnęli się nieco po okolicy. Tuż za kępą wierzb brodził majestatycznie po jasno-zielonym moczarze długonogi bocian; po drugiej stronie stawu kołysał się las trzcin i szuwarów; górą, wyciągnąwszy szyje przed siebie przelatywało stado dzikich kaczek.

Ruszyli znowu z miejsca, kierując się w stronę puszty. Trzymali teraz lejce oboje razem. Pannie Ewie wydało się siedzenie na koźle niewygodnem, więc przytuliła się do pana Adama i oparła główkę na jego ramieniu.

— Czy mam miss Mill dziś powiedzieć o wszystkiem? — zapytał.

— Jeszcze nie... Dopiero na przyszły tydzień. Dobrze mi żyć jak teraz...

Potem dodała:

— Nie wiem dla czego, lecz jestem pewna, że miss Mill będzie bardzo zła gdy się dowie o wszystkiem...

— A więc dobrze: na przyszły tydzień...

Wózek skręcił ku domowi i pędem przemknął przez długą, topolową aleję. Koło oranżerji zatrzymał się. Dziewczyna zeskoczyła prędko i z kapeluszem przewieszonym przez ramię zniknęła w winogradowej altanie. Wózek potoczył się znowu i stanął przed obszernym, kolumnadą słupów podpartym gankiem krytego gontami dworu.

Pan Adam udał się wprost do salonu. Pokojówka podniosła żaluzje w oknach od ogrodu. W ogrodzie, kos w liściach platanu ukryty, pogwizdywał wesoło.

Po krótkiej chwili weszła miss Mill. Szeleszcząc jedwabną, suto koronkami przybraną suknią, poruszała się z królewską godnością, przyswojoną sobie od czasu, gdy raz przez trzy miesiące była nauczycielką księżniczki Esterhazy.

— Dzień dobry miss Mill! Nic nowego w domu?

Miss wskazała panu Adamowi z powagą krzesło.

— Cieszy mnie bardzo, że pana widzę. Jest już ostateczny czas, ażebym panu oznajmiła, o czem dotychczas przez delikatność mówić nie chciałam: pańska pupilka nie czyni w naukach żadnych postępów!..

— Hm, a jednak skończyła już lat ośmnaście!

Miss poruszyła zwolna swoim wachlarzem.

— Niestety... pupilka pana należy do tych nieszczęśliwych istot, które ja, w przeciwstawieniu do arystokratów duchowych, duchowymi plebejczykami nazywać zwykłam. Daremnie usiłowałabym zaprzeczyć, że dziewczyna ta, ma umysł bardzo ograniczony. Przy żelaznej wytrwałości mogłaby może wadę tę nieco zatrzeć; przy lenistwie jednak jakie ją obecnie opanowało, nie zdoła bezwarunkowo nigdy wykształcić się dostatecznie do swego przyszłego zawodu...

— Zawodu?

— No, tak. W chwili gdy mi pan co do wychowania tej dziewczyny wolną pozostawił rękę, postanowiłam wykształcić ją na guwernantkę. O ile mi wiadomo, nie posiada żadnego majątku. Nawet ten folwark odkupił pan od wierzycieli, gdy miał już pójść na licytację... Na razie, z litości zajmujesz się pan swoją pupilką, lecz to nie może przecież trwać wiecznie! Dziś, jutro, dorośnie zupełnie, a wtedy, będzie się musiała stąd oddalić, choćby tylko ze względu na języki ludzkie... Przytem, pan sam, prędzej lub później ożenisz się niezawodnie a wówczas, ona byłaby panu, a zwłaszcza pańskiej małżonce, tylko ciężarem...

Pan Adam spoglądał na miss Mill szeroko rozwartemi oczyma, ona zaś, spuściwszy powieki mówiła dalej, głosem dyskretnie stłumionym:

— Bezwątpienia, wyszukałeś pan już jakąś, wyższego umysłu, godną pana kobietę...

Słuchającemu mężczyźnie przypomniały się w tej chwili niektóre niesmaczne zwroty z listów miss Mill, jakiemi go, gdy był w Bukareszcie, uparcie zasypywała.

— Czy mogę zobaczyć pannę Ewę? — zapytał, ażeby odwrócić rozmowę.

Miss podniosła się z krzesła z widoczną niechęcią.

— Nie byłabym rada, gdyby jej pan teraz przeszkadzał... Uganiała się całe popołudnie Bóg wie którędy, więc musi teraz za karę wypracować dłuższe zadanie historyczne. Do widzenia przy podwieczorku, za pół godziny!..

Pan Adam udał się do kancelarji i wysłuchał raportu rządzcy. Następnie wyszedł i spacerował przez kilka minut przed dworem.

Zatrzymał się przed niewielkiem, okratowanem oknem w parterze. Wewnątrz, za oknem, siedziała młoda dziewczyna z piórem w ręce, pochylona nad stołem. Pokoik jej był dość ciemny i urządzony nader skromnie. Nad wąskiem łóżeczkiem wisiały wizerunki jej zmarłych rodziców, za ramy zatknięte były dwie palmy.

Dziewczyna podniosła oczy i z uśmiechem podeszła ku oknu.

— Zapytywałam wyroczni kwiatowej... Wie pan, co oznacza kwiat oleandru?

— Cóż oznacza?

— Ee.. Mam powiedzieć? Oznacza... pocałunek...

— Nad czem pracowałaś Ewo?

— Mam zadanie, lecz go ani rusz wyrobić nie umiem...

— To źle!

— Pewnie. Miss Mill powiedziała, że jeśli nie skończę do podwieczorku, nie wolno mi będzie przyjść do stołu...

— Czyś głodna?

— Och, i jak!

— Więc ci pomogę. Jakież to zadanie?

— Mam skreślić biografię wszystkich królów z domu Plantagenet. Książki, miss zamknęła...

Mężczyzna myślał długo, potem potrząsł głową.

— Tak dawno już, jak się tego uczyłem... Biedna Ewo, ty chyba nie dostaniesz dziś podwieczorku!

Dziewczyna ze ściśniętem sercem przytuliła się do kraty.

Tymczasem, służąca zameldowała panu, że stół nakryty.

— Chodź — rzekł pan Adam do panny Ewy. — Nie mogę patrzyć na ciebie jak siedzisz za temi kratami, ty... mała kryminalistko!...

— Ale miss Mill?...

— Chodź, gdy ci mówię!

W ogrodzie był stół na dwie osoby nakryty. Miss Mill przestawiała z uśmiechem kryształowe karafeczki i porcelanę. Wyniosły wyraz jej twarzy zniknął gdzieś bez śladu; wydawała się prawie piękną, a przemawiała z niezwykłą słodyczą.

— Musisz pan poprzestać na mojem towarzystwie, bo pańska pupilka została za karę w domu. Mam nadzieję, że ją panu zastąpię. Prawda?... Chociaż, będzie to bezwątpienia trudnem zadaniem: uczynić przyjemnym pobyt przy familijnym stole człowiekowi, tak zepsutemu doborowem i wesołem towarzystwem jak pan...

Panna Ewa zjawiła się we drzwiach werandy. Wahając się, postąpiła kilka kroków naprzód. Z przyzwyczajenia wzięła się rączkami pod boki, i uśmiechała się z zakłopotaniem. Na schodach zatrzymała się, opierając swoją smukłą, dobrze rozwiniętą kibić o balustradę. Podobna była w tej chwili do zadąsanego dzieciaka.

Miss Mill nie zauważyła jej zjawienia się.

— Czy kawę lubi pan bardzo słodką? — zapytała pana Adama składając we wdzięczny ciup usta.

Pan Adam dał ręką znak pannie Ewie, aby się zbliżyła. Ośmielona, podeszła do niego, poczem, jakby szukając ochrony stanęła za jego krzesłem i obie ręce położyła mu na ramionach. Mężczyzna wziął jedną rączkę — była ciepła i odrobinę wilgotna, jak rączka Desdemony.

Następnie, z miną bardzo poważną zwrócił się do zdumionej miss Mill:

— Szanowna miss, pozwól, że opowiem wszystko od początku...

LUDWIK MANIAWSKI.

ROZMYŚLANIA LITERACKIE.

Ciąg dalszy.

III.

O lenistwie i jego leczeniu.

Jak przyswoić sobie takie przyzwyczajenie, o tem traktuje Fleury w szóstym rozdziale swego dzieła. Ten rozpowszechniony brak bywa często nie wrodzoną właściwością charakteru, lecz jest poprostu przejawem neurastenji. Dlatego też Fleury zaleca, aby walczyć z „leniem“ za pomocą tych samych środków, jakie stosuje medycyna przy leczeniu neurastenji, oraz korzystać z przykładu wielkich ludzi, uznanych jako genjusze i talenty, którzy sami dla siebie wymyślali sposoby pozbycia się „lenia“.

Setki przykładów świadczą, iż leniwcy, przy bliższem wniknięciu w sprawę, są ludźmi „o złych przyzwyczajeniach funkcji mózgowej“. A jeżeli to właśnie tak jest, to w danym wypadku przychodzi poszukać środków do wzmocnienia woli. Jednym z najważniejszych symptomów neurastenji jest niezdolność do forsownej pracy. Choroba ta zawisłą jest od wyniszczenia mózgu, od znużenia całego organizmu, od uśpienia zdolności myślowych i ucisku woli. Dlatego też zupełnie logicznem jest leczenie lenistwa tym samym sposobem, jakim się leczy neurastenję.

Zwykle lenistwo jest uważane za takie zło, którego wyleczyć nie można, ponieważ jedynym nań środkiem jest praca, a tej wobec lenistwa wykonywać przecież niepodobna. Paradoks ten podtrzymuje doktryna, iż żadne wysiłki ludzkie nie są w stanie zrobić duszy ani lepszą, ani gorszą, gdyż jest ona czemś, czego się zmienić nie da.

Według słów Fleuryego jednak, niezaprzeczone fakty dowodzą, że większość *leniuchów* nie zawsze jest leniwą i że rola większości ludzi poddana jest kołysaniom się, podobnie jak rtęć w termometrze. Lenistwo, jako oddzielne, samoistne zjawisko, spotkać można bardzo rzadko. Ogromna większość leniuchów o słabej woli cierpiała w młodych latach na „złe trawienie“, jak wszyscy neuropaci i chorzy na dyspepsję. Ale nie ich ma na oku Fleury, dlatego, że oni po dwóch, trzech miesiącach leczenia nabierają znowu siły woli. Pozostawia na boku i samowolnych leniwców. Tym jest lenistwo przyjemnem, nie cierpią wskutek niego, a zresztą obojętni i nieczuli leniwcy skazani są sami przez los: są nieuleczalni.

Jest jednak inna kategorja leniwców. Tych dręczy brak woli, męczy ich okropny strach, że nie osiągną celu. Ci żałujący leniwcy — w szczególności ci, którzy nie zawsze byli takimi — dostępni są leczeniu lub też istotnemu polepszeniu w cierpianiach. Są to mianowicie ci, którzy czekają natchnienia do pracy t. j. mniejszej lub większej zdolności wyrażania swych myśli bez wytężenia, pracowania z całym zasobem siły umysłowej. Można ich porównać z paryskimi lazzaronami, czyniącymi sobie zawód z tego, iż kładą na swe plecy kufry przyjezdnych i pędzą za ich powozem do hotelu. Przez cały dzień tłoczą się koło dworca i czekają, prędko im się zdarzy sposobność ku temu. Za kilkanaście centimów tracą niesłychaną siłę, ale ta strata wymaga więcej natężenia, niż prawidłowa praca przez cały dzień. Obywatel paryski uważa tych pracowitych ludzi za leniwców i nie żałuje ich wcale.

Leniwcy wolnych narodów należą do tego samego gatunku. Zdolni są oni do wielkich chwilowych wysiłków ale te chwile rozdzielone są długimi okresami mózgowej bezczynności. Oddają się lenistwu, aby budować plany, dopóki na nich nie spłynie natchnienie, alko też póki konieczność zapracowania środków do życia nie zmusi ich do pracy. Od czasu do czasu jednak biorą się do roboty i w tem spoczywa dla nich zbawienie.

Nie w tem rzecz, aby zmusić do pracy tych, którzy nigdy nic nie robili, ale żeby ten ulotny wysiłek, to pchnięcie, które wytwarza energję mózgową i daje rezultaty oderwane, zmienić w czynność prawidłową, umiarkowaną i nie nużącą. Jestto rzecz bardzo łatwa do urzeczywistnienia, dlatego, że chwianie się i zmiana ludzkiej siły podlegają tym samym prawom, jakim podlegają siły fizyczne.

Przy leczeniu lenistwa Fleury radzi stosować po pierwsze ogólną metodę terapeutyczną, jaką leczy się neurastenję, a po drugie metodę specjalną, psychologiczną. Neurastenicy i leniwcy powinni mieć ściśle określony rozkład czynności na dobę. Jestto główny warunek równowagi umysłowej. Chory powinien wstawać o siódmej rano i pracować półtorej godziny; o wpół do dziewiątej śniadanie; do dziesiątej czytanie gazet i listów; od dziesiątej do wpół do dwunastej znowu praca, potem pół godziny wypoczynku; o dwunastej obiad; po obiedzie

pół godziny wypoczynku i pół godziny spaceru, poczem załatwianie spraw bieżących, wizyty, rozrywki. O siódmej wieczorem kolacja, następnie wypoczynek i spacer, Kłaść się spać należy także o jednej i tej samej godzinie, ile możności najwcześniej.

Fleury nawet dosyć szeroko rozpisuje się o djecie dla takich pacjentów, wyliczając szczegółowo, czego im nie wolno jeść i pić, czego znowu używać należy. Wszystkie te przepisy hygjeniczne zmieniają się jednak stosownie go indywidualności pacjenta.

„Leczenie psychologiczne" zawiera się w sianiu pożytecznych myśli na obrobionym gruncie. Regulując sposób życia chorego, lekarz daje choremu mózgowi spokój i siłę t. j. warunki konieczne do dłuższej pracy umysłowej. Gdy leniwiec poczuje dzielność i siłę, należy mu wskazać jak ma używać swych zdolności, trzeba wmówić po prostu w niego, że energja mózgowa nie narasta bezkarnie, że należy ją przyuczyć do czegoś, prawidłowo jej używać, jeżeli nie chce aby ta nagromadzona siła przeszła na system nerwowy, że takie obciążenie jest niemniej szkodliwem jak wyniszczenie wskutek nadmiernej pracy umysłowej. Neuropatę, z punktu widzenia współczesnej psychologji, nazywa Fleury umysłem roztargnionym, pochłoniętym przez jakąkolwiek *idée fixe* i pognębionym przez wrodzone nieświadome przyzwyczajenia, które go stawiają poza nawias powszedniego życia. Pod to określenie należą także i „wielcy ludzie".

„Prawie każdy wielki człowiek jest trochę neuropatą. Jest tak samo roztargniony, pochłonięty przez ideę *fixe*, z zakorzeniałymi przesądami i przyzwyczajeniami i wszystko to stawia go za nawias powszedniego życia. Prawie napewno można powiedzieć, że wielki umysł odróżnia się od neuropatologicznego tylko pięknością swej idei *fixe* i tem, że umie rozeznać się w swych przyzwyczajeniach, wybierając te z nich, które są godne pierwszeństwa".

A ponieważ w życiu praktycznem często jest możliwem zamienić głupią ideę na piękną, złe przyzwyczajenie na dobre, przeto i w tem powinno się zawierać psychologiczne leczenie lenistwa, aby zbłąkaną duszę sprowadzić na właściwą drogę.

IV.

Sposób życia wielkich ludzi.

Doktor Fleury miał sposobność leczyć na neuropatję i jednocześnie na słabość woli ludzi najrozmaitszych klas i stanów: gimnazjastów w okresie przejściowym, studentów, kompozytorów, wojskowych, uczonych, prawników, giełdowiczów, znużonych polityków, biedaków i próżnych bogaczów. Dla każdego z nich — według słów doktora — potrzeba było innej myśli przewodniej, odpowiadającej rodzajowi zajęcia i siłom chorego. Najlepszych wskazówek praktycznych pod tym względem można jednak zaczerpnąć z przykładu wielkich ludzi. Wśród nich neuropaci-leniwcy, którzy pokonali swoje lenistwo, stanowią rzeczywiście ogromny kontyngent. Iluż wsławionych ludzi w dziecięctwie uczyło się źle!

Alfieri, poeta włoski, był tak leniwym, że przymocowywał do stołu porozpoczynane prace. Inaczej nie mógł się wziąć do ich artystycznego opracowania.

Jan Jakób Rousseau opowiada w swej „Spowiedzi", że w ciągu wielu lat nie mógł myśleć siedząc albo stojąc i dyktował nie inaczej jak tylko leżąc. Skoro tylko wstawał, pamięć wymawiała mu posłuszeństwo, nie mógł skupiać myśli i utrzymać ich związku.

Sam Olimpijczyk Goethe, który przedstawiał obraz największej siły woli i panowania nad sobą, Goethe, którego mózg, jakby się zdawało, nie znał znużenia, pracował bardzo niewiele godzin w czasie dnia. Utwory swoje pisywał tylko rano — „pozostały czas przeznaczony dla zajęć świeckich" — powiada on w jednym z swych listów.

Przykład Darwina jest jeszcze więcej pouczającym. Był to umysł wątły, z kiepską pamięcią, na tyle słaby, że nie udawało mu się zapamiętać czyjegokolwiek nazwiska lub wierszy dłużej jak na dzień lub dwa. W swej ogromnej skromności twierdził pewnego razu, że nie posiada dość krytycznej myśli, aby sądzić o czyimś utworze. Chorował wiecznie, mieszkał przez lato i zimę na wsi i był do tego stopnia słaby, że mu zabraniano widywać się z przyjaciółmi i rozmawiać z nimi. Pisał tylko godzinę dziennie, od ósmej do dziewiątej rano, następnie udawał się do rodziny, gdzie mu dla wypoczynku czytywano gazety lub kilka stronnic powieści, o w pół do jedenastej szedł do laboratorjum, gdzie pozostawał do południa. Był to ostatni kres, po za którym nie mógł się zmusić do pracy.

Wiadomem jest, że Balzac lubił się lenić i kosztowało go wiele pracy, aby pokonywać swoje lenistwo. I ten leniuch napisał 26 tomów!

Z współczesnych znakomitości nikt nie przedstawia cenniejszych wskazówek pod tym względem, jak Emil Zola. Doktor Fleury miał sposobność obserwowania go dość blisko i to w chwilach, gdy poetę nawiedzała muza. Zola rozpryskuje się mniej, niż ktokolwiek inny z pisarzy współczesnych, a jego fantazja twórcza nigdy nie wypowiadała mu posłuszeństwa. Ale ten żywy umysł, lubiący twórczość, niczego tak nie lubi jak spokój i pragnie tej błogosławionej chwili, w której po ukończeniu pracy bez wyrzutu sumienia może się oddać bezrobociu. Od natury obdarzony jest Zola tylko częściowo i posiada małą zdolność skupiania się Nie może czytać utworów oderwanych i czytuje tylko takie książki, które mogą mu się przydać do jego własnej pracy. Kształci się nie z miłości dla nauki, a mózg jego nuży się wskutek uczonej roboty. Co się tyczy jego woli, to sam uważał ją zawsze za tak słabą, że uciekał się do rozmaitych sztuczek w celu wzmocnienia jej. W *La Joie de vivre* jest osobistość, snująca wspaniałe plany, ale nie doprowadzająca ani jednego do skutku. Rozpoczyna sto rzeczy i ani jednej nie kończy. Ta osobistość, narysowana delikatnie pod względem psychologicznym, z uderzającą jasnością ucieleśnia w sobie typ bezsilnego pesymisty. Fleury wskazał pewnego razu Zoli na piękność tej postaci, a on mu odpowiedział, że przez całe swoje życie bał się tego, że jest takim samym, obawiał się, że nic mu się nie uda.

Zola nie może pracować więcej jak trzy godziny na dobę. Często mawiał do Fleuryego:

— Położę się do łóżka, jeżeli przekroczę tę granicę.

I nawet te trzy godziny nie pracuje z rzędu, lecz z wypoczynkami. Wstawszy rano z łóżka, natychmiast siada do pracy. Jestto najlepszy czas, dlatego, że natychmiast po śnie umysł jest jasny i frazesy szybko spływają z pod pióra. Lecz Zola prędko odczuwa znużenie. Musi trochę zjeść, aby pokrzepić siły, przeczytać parę gazet, aby się trochę rozerwać. Od dziesiątej do dwunastej

znowu pisze, chociaż już nie tak łatwo, jak podczas pierwszej godziny pracy. Na tem kończy się jego dzienna robota i dalej zdolnym jest chyba tylko do pisania listów.

Taką jest siła robocza tego, jak powiadają krytycy, największego literackiego umysłu końca naszego wieku.

Pokazuje się, że i największe umysły powinny się zmuszać do pracy, a podobne przykłady samowyleczenia się ze słabości woli mogą tylko zachęcić drugich. Mimo to jednak nie należy się nimi zachwycać lub pocieszać. Takie wypadki są rzadkie, jak rzadkimi są bohaterowie, o których świadczy historja, że sami dla siebie wymyślali abecadło, sami uczyli się rysunków, samodzielnie tworzyli geometrję. (Pascal). Zwykle zaś ludzie są złymi lekarzami samych siebie, a u wielu jest takie blade, anemiczne sumienie, że potrzeba im silnych wskazówek, któreby ich zniewalały do pracy... (Dok. nast.)

Z BRZEGÓW.

Jałowcu ciemny krzak z urwiska się pochyla,
Gałęzie smętne swe nad modre zgina fale,
Nad lazurowe mgły, wznoszące się nad morze,
Co w niezmierzoną dal otwiera się wspaniale!
Ku Tobie moja myśl i sucha i cierniowa,
Tęskni i ciągnie się, Wieczności lazurowa!
Do Was, Niebieskie Mgły, sycone słońca złotem,
Lecą pragnienia me, krogulców czarnych lotem!

Wsród turkusowych wód, jak wielki cień motyla,
W dali skrzydlata łódź nad falą się pochyla,
Z wierzchów słonecznych wzgórz świetlane i majowe
Zbiegają gaje w dół, na brzegów piaski płowe.
Czyliż tam z serca wód, z tej turkusowej toni,
Zaklęty jaki kraj wśród mgieł się nie wyłoni?
Cudowny, boski świat, gdzie przez świetlane szlaki
Podążą duchy tak, jak śnieżno-białe ptaki!

Huragan poszedł w dal, a z głębi ciemnej wody,
Jak świetny jaki bóg wychodzi księżyc młody:
Dzikim geniuszom burz ofiara wyrzucona,
Tysiące srebrnych ryb na mokrym piasku kona.
A tam ulata w głąb skraj poszarpanej chmury,
A w niej liljowy grom rozjaśnia strop ponury,
I śpieszy dalej w świat niszcząca i straszliwa,
Wezbranych Pani mórz, — Smierć wiecznie łupów chciwa!

Ciche błękity fal z miesiąca złotą drogą
Wabią mą duszę w dal, wywabić jej nie mogą!
Cyprysów czarnych rząd i gwiazdy ponad niemi
Tak wielką, smutną pieśń drzemiącej nucą ziemi!
Och, czemuż Istność ma, jak wątła koncha lśniąca
Wśród tajemniczych fal Wieczności się roztrąca!
Czemu, choć patrzę dziś w miesiąca złotą drogę,
Po szczeblach złotych dróg w krąg światła wejść nie mogę!

Pod kępą białych brzóz nad brzegiem leżę morza
I szlę mój wzrok daleko — ach, daleko!
Za szafirową toń, za mgły liljowe w dali,
I zwolna ciche łzy po licu mojem cieką.
Och, bo przeminie czas i z ziemskiej mej istoty
Zostanie prochu garść o Przeszłem już nie śniąca.
— I dłużej nieco żyć jest dano białym brzozom,
I dłużej nieco chwiać się będzie woda lśniąca!

J. K.
St. Louis, w Stan. Zjedn.

WIEDEŃSCY SECESJONIŚCI.

Szkic artystyczny.

Wiedeń, który był bardzo filisterski w zakresie ruchu artystycznego, zdobył się niedawno na nowe ognisko *modernismu* w piśmie „Ver sacrum“, rywalizującem z monachijskiem „Jugend“. Obecnie „Zjednoczenie artystów sztuk plastycznych w Austrji“ (Vereinigung bildender Künstler Österreichs) urządziło na Ringach w budowli Tow. ogrodniczego wystawę, mającą na celu zgromadzenie prac twórców, którzy stanęli pod sztandarem nowego ruchu. Obok kilkudziesięciu członków honorowych liczy ono pięćdziesięciu członków zwyczajnych, pomiędzy którymi znajduje się dziesięciu Polaków, przeważnie malarzy krakowskich i profesorów tutejszej Akademji, budzącej nowy a żywotny ruch artystyczny.

Zobaczmy naprzód jak się zaprezentowali nasi. Nie mają oni osobnej sali lub odrębnego miejsca, ponieważ „Secesja“ w układzie przyjęła zasadę kosmopolityczną, pomieszała malarzy i rzeźbiarzy różnych krajów ze sobą, robiąc wybór staranny, dopuszczając tylko rzeczy dobre lub... oryginalne.

Otóż z pomiędzy Krakowiaków wybił się na wierzch Józef Mehofer. Jego portret damy, na tle płowo-pomarań-

czowej draperji, tchnie wielkiem życiem i odbiega od konwencjonalnych formułek. Artysta przedstawił w swym ulubionym ciemnawym tonie młodą kobietę, ubraną oryginalnie, z ruchem pełnym jakiejś artystycznej fantazji. „Wiem, że nie jestem cudem piękności, ale mam wdzięk, humor, werwę, patrzę śmiało przed siebie, myślę trochę o chłopcach, a więcej może o sztuce". Tak zdaje się mówić ta miła niewiasta, na którą z za portjery patrzy ciekawa trójka mężczyzn. Rzecz malowana dzielnie, śmiało, harmonijnie, z wyrazem i perspektywą powietrzną. Drugi obraz Mehofera „Muza" jest już mniej szczęśliwą przeróbką tego samego tematu na sposób symboliczny.

Wyczółkowskiego „Chrystus" z katedry Wawelskiej powieszony w mroku, pociąga nietylko świetną techniką, ale i nastrojem mistycznym, jaki artysta wydobył z pokrytego krepą wielkiego krucyfiksu. W tym obrazie Wyczółkowski rozkazał mówić przedmiotom martwym, a w dwóch portretach pastelowych schwycił wybornie fantazję energiczną mężczyzny i jakiś leniwy wdzięk w twarzy kobiecej. Jak żywy stoi także Axentowicz na swym autoportrecie, z wyrazem twarzy spokojnym, pewnym siebie i świadomym swych celów. Trochę za szkicowo zbył artysta akcesorja, skupiając całą siłę na wybornej twarzy.

Stanisławski wystawił kilkanaście swych małych, ale bardzo ciekawych widoczków, w których zajmująco przedstawia jakiś mały szczegół, skrawek przyrody. Lilja na wodzie, kępka kwiatu a maku, drzewo nad strugą, grupa uschłych badyli — wszystkie drobiazgi mają swój charakter i kąpią się w powietrzu. Artysta wprowadził do sztuki swojego rodzaju miniaturowe odtwarzanie szczegółów przyrody, podkrada jej drobne powaby, niepochwytne dla zwykłych spostrzegaczy.

Fałat dał tylko jedną akwarelkę z kilkoma dachami krakowskiemi, oprószonymi śniegiem.

Wyśpiańskiego wzór do witrażu z figurą jakiejś świętej nadaje się do ozdobienia gotyckiej świątyni i pomimo pewnej maniery w rysunku, właściwej temu niepospolitemu artyście, ma on dobrze uchwycony charakter religijno-średniowieczny.

Wogóle artyści nasi popisali się dobrze, chociaż wśród mistrzów europejskich nie wybili się w sposób imponujący, jak niedawno w Petersburgu.

Na tle wielu dzieł wartościowych rysuje się wyraźnie kilka osobistości twórczych dużej miary.

Nic dziwnego, że gasi wszystkich Böcklin, którego obraz „Gra fali" (Im Spiel der Wellen) sprowadzony tu z pinakoteki monachijskiej należy do największych arcydzieł sztuki współczesnej. Spacerując po salach, kilka razy wracałem do tego czarodziejskiego płótna. Jakie to wspaniałe uosobienie kapryśnej gry tajemniczego żywiołu. Te nimfy wodne i syreny, pierzchające przed wielkim hipocentaurem, to niby lotne ruchliwe fale, uciekające przed ogromem wielkich bałwanów morza. Kto raz widział ciemno-bronzową twarz satyra wodnego z wiankiem lilij na głowie, wytrzeszczone oczy jakiegoś potworka ze skrzelami, który już za nim płynie, uśmiechniętą twarz syreny rozbawionej zdziwieniem potwora, albo nogę ze skrzelami innej wodnej nimfy, która nurkuje na widok hipocentaura — ten nie zapomni tych wszystkich postaci zmyślonych, a jednak tak plastycznych, tchnących taką ułudą fantazji. Böcklin posiada dziwny dar stwarzania w malarstwie figur zmyślonych, a jednak wyrazistych i na swój sposób żywotnych — dar, który w poezji ma chyba tylko Shakespeare, nadający swym Puck'om, Arjelom i Kalibanom rysy wiekuiście trwałe i niezapomniane. A jak naprawdę te dziwne istoty ruszają się w fali przejrzystej, barwnej, napełniającej cały obraz kołysaniem wspaniałem — jak pyszny ton tej wody, głęboki, ciemno-szmaragdowy, przechodzący w czarniawy błękit, jak naturalnie te białe smugi snują się po powierzchni, przerzynanej ciałami syren i faunów morskich. Böcklin antromorficznie uosabia siły przyrody, ale jego postacie nie mają harmonijnych i estetycznie skończonych form bóstw heleńskich lub rzymskich. Znać na nich wyobraźnię germańską. Ten hipocentuar, faun i syrena mają w sobie trochę cieżkiej jowialności. Przez to właśnie, że nie przedrzeźniał kształtów klasycznych, przez to, że nie powtarzał form już skończonych, ale szedł za pędem fantazji nawskróś oryginalnej, przez to, że był opętany swemi potężnemi wizjami, jest właśnie takim wielkim twórcą obrazów i światów dodanych do rzeczywistości, a wcielonych z niesłychaną, wyjątkową siłą kolorytu. Secesjoniści umieścili dzieło mistrza na swej wystawie bardzo słusznie, albowiem on jest jakby zwiastunem, ojcem duchowym nowego prądu idealnego, powrotu do legendy i fantazji pierwotnej, który dokonał się także w muzyce za sprawą Wagnera podczas przewagi kierunku realistycznego w literaturze. Teraz dopiero w poezji słowa rośnie on ciągle, zaludniając ją szeregiem mar, wizyj obłocznych, mglistych przeczuć i ledwie uchwytnych nastrojów.

Drugi wielki mistrz idealizmu współczesnego w malarstwie, Puvis de Chavannes, nadesłał trzy olbrzymich rozmiarów kartony, przedstawiające patronkę Paryża, św. Genowefę, gdy niesie pomoc i żywność oblężonemu miastu. Są to węglowe szkice wielkich malowideł, przeznaczonych do Panteonu paryskiego, który, jak wiadomo, był kościołem pod wezwaniem tej patronki. Puvis dąży zawsze do wywołania wrażenia harmonji i prostoty za pomocą rysunku pełnego naiwnej prostoty, oraz spokojnego kolorytu, będącego jakby zgęszczeniem barw pól i lasów francuskich podczas ładnego dnia, gdy słońce okryje się lekkiemi chmurami. Gdym pierwszy raz widział jego wielkie kompozycje, ta naiwność wydała mi się dziwaczną w naszej epoce, gdy technika malarska wysila się na coraz to nowe a świetne efekty. Ale później powoli wcieliłem się w ten nastrój łagodnego marzyciela, który w czasach zamętu i gorączki tworzy wielkie malowane wizje o jakimś poważnym hieratycznym nastroju. Puvis de Chavannes jest antytezą Böcklina. Jego kompozycje, nawet fantastyczne, tchną łagodną legendową prostotą, gdy tymczasem u Böcklina podziwiamy jaskrawą żywiołową potęgę fantazji malarskiej. W kartonach znajdujących się na wystawie „Secesji" artysta osiąga wrażenie zamierzone za pomocą wielkiej prostoty i naiwności rysunku, trzymanego w linjach okrągłych i surowych, a jednak pełnych wyrazu. Artysta nie sili się na realny charakter scen przedstawianych, ale otwarza z pobożną i naiwną powagą wspomnienia narodowe, nadające im charakter głęboko religijny. W wieku, gdy wirtuozowstwo artystyczne zdobyło się na tyle wyrafinowanych efektów, gdy i racjonalizm i realizm z taką potęgą badał i odtwarzał materjalną i mechaniczną stronę życia, tacy artyści, jak Puvis de Chavannes są objawem tęsknoty do religijnej strony naszego bytu, pojętej w znaczeniu najogólniejszem, a wypływającej z pierwotnych instynktów i potrzeb natury ludzkiej.

(Dokończenie nastąpi).

S. W.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

„Starszy inspektor“ Lunde chciał koniecznie wynaleść tytuł dla pani Gluncke; krzyknęła jednak i zatkała sobie uszy.

„Jenerał“ Knoff chciał wypić kieliszek wina z „prezydentem policji“ Andersenem, który siedział i wpatrywał się w Knudsena szklannemi oczyma. Ponieważ „jenerał“ nie mógł go się dowołać, przeto z wojskową energją pochwycił kawałek pomarańczy i rzucił go przez stół. Nieszczęściem trafił panią Grünner w sam nos.

— Kwas na kwas! — zawołał „prokurator“ Paulsen.

Pani Grünner chciała iść i byłaby prawdopodobnie poszła; powstrzymali ją jednak „prezydent policji„ i „dyrektor kolei“.

Tymczasem zapomniano o tej przykrej scenie, ponieważ pannie Ewelinie przyszła szczęśliwa myśl do głowy. Wzięła czerwony papierek z karmelka i wetknęła go w dziurkę surduta redaktora.

Teraz, co się tylko znajdowało na stole świecącego lub kolorowego, zużytkowano na dekoracje dla panów, tak że w końcu zgromadzenie stało się „świetnem“. Przyjęto propozycję Mortensena, aby kawę wypić przy stole i zapalić cygara, tak „jak się to robi w Paryżu“. Hałas stał się tak okropny, że nie można było słyszeć swego własnego słowa. Był to dziki kankan wielkich tytułów, które się krzyżowały nad stołem; słyszano ustawicznie: jenerale! dyrektorze kolei! naczelniku portu! ministrze! prokuratorze! a wśród tego ryczał „prezydent policji“ Andersen:

— Knudsen!

Krystynie robiło się coraz nieprzyjemniej. Spoglądała na obie strony stołu i wstydziła się za jego wygląd. Wielkie czerwone plamy od wina i brązowe od sosu, kwiaty i sałata ogórkowa, łodygi rodzynek, popiół z cygar, zmięte serwety i kawałki ciast — wszystko zmięszane razem między szklankami, kieliszkami i butelkami. Twarze zarumienione, jak cały szereg piwonij; panie się śmiały, panowie wrzeszczeli na siebie, kładąc się na stole, a dym z cygar mięszał się z zapachem potraw, wina i kawy.

Kilka razy spojrzała pytająco na męża; ten jednak uśmiechał się uspakajająco i szeptał jej coś, czego nie rozumiała; mówił znowu tak niejasno.

Gdy towarzystwo nareszcie wstało od stołu, pokój przed salą jadalną stał się wkrótce za ciasny, i pani Gluncke bez ceremonji przeszła przez kuchnię i przedpokój i otworzyła drzwi do dalszych pokojów.

Te były na pół umeblowane, lustra i kandelabry pokrywane były pokrowcami, a szyby w oknach zamazane były wapnem. Ten chłodny półzmrok był jednak właśnie tak przyjemny — towarzystwo rozsypało się po wszystkich pokojach.

Fortepian otworzono i najmłodsza panna Lunde zaśpiewała:

„Nad brzegiem morza dziewczę szło!“

Można było słyszeć, że była wykształcona „według najnowszej metody“, jak mówiła jej matka; śpiewała mianowicie:

„O-on ma-ha-lo-owal brze-heg ra-a-ha-zem z nią-ą-hąhą“...

Przy fortepianie zdarzyła się także mała scena, gdyż pani Gluncke za cenę życia nawet chciała śpiewać:

„Dwie dziewczęta sobie stały
„I kapustę sadzić miały“...

a panna Lunde stanowczo nie chciała akompanjować do „takich pieśni“.

Na szczęście burza przeminęła, gdyż „prokurator“ Paulsen chwycił Mallę Bimbam w pół i zaczął z nią tańczyć polkę.

Było to początkiem balu, wściekłego balu, który się przeciągnął aż za północ w tym wielkim, pustym, na pół ciemnym salonie.

Przy przwiach siedziała pani Grünner i słuchała pani Knoff, która płakała nad swoim mężem. Obydwie godziły się na to, że wesele stało się ordynarnem, i że Malla Bimbam nie powinna nigdy wchodzić między ludzi.

Krystyna chodziła dokoła i czuła się opuszczoną i nieszczęśliwą. Gdy jednakowoż po północy zobaczyła, że jej mąż w jakimś ciemnym kącie ściska za szyję panią Gluncke, stało jej się tak ciężko na sercu, że zeszła na dół i zamknęła się w swoim pokoju.

Gdy ostatni goście udawali się do domu, przez zamazane szyby przedzierało się już szare światło dzienne. Redaktor Mortensen już na kilka godzin przedtem odprowadził pannę Nielsen do domu. „Prezydent policji“ Andersen stał oparty o poręcz od schodów i skomlał żałośnie:

— Knudddsssen!

Język mu się zwinął w trąbkę i nie mógł już chodzić.

Pan młody zsunął się po kilku stopniach na dół; znalazłszy jednak drzwi do pokoju Krystyny zamknięte, zaczął wołać i pukać.

Krystyna zgasiła świecę, poszła i otworzyła mu.

XIII.

Przez lato mieszkał minister Bennechen w małym domku szwajcarskim na wyspie Ladeegaar tuż nad brzegiem. Domek ten był zbudowany na gruncie Falck-Olsenów, których wielka willa znajdowała się o kilkaset kroków wyżej na wzgórzu.

Wobec tak małego oddalenia obydwie rodziny żyły prawie w wspólności majątku, a ponieważ domek ministra był bardzo szczupły, przeto obie rodziny zgromadzały się najchętniej w obszernej i ładnej willi Falck-Olsena.

Pani Bennechen, jako osoba znająca się doskonale na gospodarstwie umiała ocenić korzyści wypływające z takiego prowadzenia domu; pani Falck-Olsen znów była zachwycona życiem, jakie wnosiła z sobą rodzina ministra.

W ten sposób obydwie rodziny przepędzały każde lato wśród wygód i wzajemnego zadowolenia; w tym roku jednak jakoś nic się kleić nie chciało.

A powodem tego był ten nudny bank akcyjny.

Jeneralne zgromadzenie zwołane zostało na 20. sierpnia. Stary minister Falbe w rzeczywistości nie przyjął ponownego

wyboru i Falck-Olsen wbił sobie w głowę, że przy wyborze dyrektora musi otrzymać głos ministra Bennechena, a ten znów z niezwykłą uporczywością obstawał przy tem, że będzie mógł głosować za Falck-Olsenem tylko pod pewnymi warunkami.

Przez całe lato wisiało to wszystko w powietrzu i psuło wszystkim humory. Kobiety dyskutowały o tem w małych, nerwowych rozmowach. Pani Falck-Olsen sądziła, że minister mógłby bardzo dobrze uledz jej staremu Janowi, pani Bennechen zaś była zdania, że Falck-Olsen mógłby śmiało usłuchać rady takiego człowieka, jakim jest jej Daniel.

Po południu krytycznego dnia, w którym miał być wybrany dyrektor banku, siedziały obie panie w domu i czekały na mały parowiec, który zwykle w południe przywoził mężów do domu.

Pani Bennechen była w złym humorze; wszystkie jej przekonywania psu na budę się nie zdały. Minister powiedział swoim najwznioślejszym tonem:

— Nie mogę, Adelajdo, nie powinienem!

A jeżeli kiedy, co rzadko się zdarzało, przemawiał w takim tonie, to wiedziała, że był nieugiętym. I siedziała teraz w swym małym, niewygodnym pokoiku, wcale nie w ten sposób urządzonym, aby można w nim było przesiadywać przez cały dzień; na dworze padał deszcz, a przez cienkie, letnie ściany przedostawały się zapachy potraw i dochodził hałas z kuchni.

Pani Falck-Olsen zeszła na dół do przystani po męża, widząc iż parowiec już przybija do brzegu.

Obydwaj panowie wysiedli i przeszli razem przez mostek; wtedy dopiero wybuchnął Falck-Olsen. Wprost z jeneralnego zgromadzenia udali się na okręt, na którym było mnóstwo ludzi.

— Tego rzeczywiście nie myślałem! — wrzeszczał zjadliwie Falck Olsen — dziwi mnie, bardzo mnie dziwi Bennechen, że poważyłeś się uczynić coś podobnego!

— Bardzo mi to przykro, panie Falck-Olsen! Ale mówiłem panu już przedtem... nie mogłem postąpić inaczej. Wyższe względy...

— Względy! Zdaje mi się, że jesteś mi pan winien wiele względów, nawet bardzo wiele...

— Cicho, cicho, stary, tylko nie tak gwałtownie — uspokajała go żona, która teraz dopiero spotkała się z nimi.

— Nie wiem, poco ty się tu właściwie mięszasz, stara, ten tam — i Falck-Olsen wskazał napół zżutem cygarem na Bennechena — ten głosował za konsulem Lindem i to pomimo, że wiedział, iż gdybym tylko chciał, to... Ale będzie on jeszcze żałował tego dnia, na to może być przygotowany!

— Posłuchaj mnie pan przez chwilę, panie Falck-Olsen — zaczął minister. Był blady, kąciki ust mu drżały, jak gdyby się chciał uśmiechać. — Czy panu nigdy na myśl nie przyszło, że mógłbyś pan potrzebować... że panu tutaj jeszcze czegoś brakuje?.. — I minister dotknął ostrożnie lewej klapy jego surduta.

— Eh co mi tam! Kpię sobie z pańskich ładnych frazesów! Nic mi nigdy nie brakuje, ani w sercu ani w głowie! Przekonasz się pan o tem jeszcze dość wcześnie!

Rzekłszy to, popędził do domu, jakby go mrówki gryzły po piętach.

Ciąg dalszy nastąpi.

Wiadomości artystyczne i literackie.

Adam Bełcikowski napisał studjum o Mickiewiczu (psychologiczny wizerunek poety), które drukuje „N. Reforma".

P. Rizner podaje w miesięczniku „Slovenske pohlady" bibliografię wszystkich przekładów z literatur słowiańskich na język słowacki.

W Warszawie ma powstać nowe czasopismo redagowane w języku rosyjskim pt.: „Przegląd zachodni". Wydawać je będzie współpracownik „Nowosti" znany tłómacz Sienkiewicza p. K.

Prof. Goll w Pilznie wygłosił w lokalu mieszczańskiej Besedy odczyt o „Konradzie Wallenrodzie".

Wystawa Rembrandtowska w wielkich rozmiarach ma być urządzoną w Amsterdamie.

W teatrze Antoine'a w Paryżu wystawiono dwie premjery: dramat G. Trarieux pt: „Joseph d' Arimathée", osnuty na tle biblijnem, oraz melodramat G. Fragerollesa pt: „Le juif erront".

Znany pianista Antoni Kątski koncertuje obecnie w większych miastach Rosji.

Występy p. Tekli Trapszówney, utalentowanej „naiwnej" sceny krak. w teatrze Rozmaitości w Warszawie uwieńczył znakomity sukces. Krytyka podnosi zalety gry młodej artystki, która wykształciła się na wzorach szkoły Koźmianowskiej.

Na konkurs dramatyczny Paderewskiego nadesłano dotychczas pod adresem „Biblioteki warszawskiej" 29 sztuk. Termin konkursu upływa z dniem 1. lipca br.

P. Marcelina Kochańska budzi zachwyt w Wiedniu, gdzie obecnie śpiewa w teatrze Karola.

Zastępcą reżysera dramatu i komedji w Warszawie mianowany artysta dramatu p. Narkiewicz.

W poważnem czasopiśmie francuskiem „Revue d' histoire litteraire de la France" znajdujemy wyczerpujące sprawozdanie z dzieła prof. J. Kallenbacha z Fryburgu o Ad. Mickiewiczu. Autor krytyki zaleca prof. K. opracowanie tej cennej książki po francusku.

St. hr. Rzewuski wystawił w paryskim teatrze „Athenee Comique" jednoaktową bluetkę pt: La doctrine du mari". — Krytyka nie szczędzi jej pochwał.

Gazeta „Żiźn i Iskusstwo" w Kijowie zamieściła w swym dodatku literackim obszerną rzecz o Adamie Mickiewiczu (z jego portretem), napisaną ze znajomością przedmiotu przez p. K. S., z powodu setnej rocznicy urodzin naszego wieszcza.

Treść: Ferencz Herczeg — *Miss Mill* (Przekład z węgierskiego); Ludwik Maniawski · *Rozmyślania literackie* (Ciąg dalszy); J. K. — *Z Brzegów* (Wiersz); S. W. — *Wiedeńscy secesjoniści* (Szkic artystyczny); Aleksander Kielland — *Pod sztandarem pracy* (Powieść — c. d.); *Wiadomości artystyczne i literackie.*